



Mirosław Derecki

IV FESTIWAL KULTURY STUDENTÓW

FILMY TEŻ KRĘCĄ...

Przez pierwsze trzy dni festiwalu w Krakowie padał deszcz. Ci spośród dziennikarzy, którzy zdecydowali się na tzw. „ogólny przegląd” imprez artystycznych, zużyli przede wszystkim wiele czasu i trudu na wypożyczenie od krakowskich znajomych płaszczy przeciwdeszczowych lub parasoli. Mnogość przedstawień, imprez i koncertów, zgłoszonych na festiwal, spowodowała, że musiały się one odbywać w licznych salach, porzucanych na terenie miasta - do Nowej Huty włącznie, co przy nie najlepszej komunikacji krakowskiej zmuszało i sprawozdawców, i publiczność do wyteżonych marszobiegów lub wręcz galopad. Piszący te słowa był w sytuacji o tyle szczęśliwszej, że poświęcił się bez reszty Festiwalowemu Konkursowi Filmowemu, odbywającemu się w studyjnym kinie „Sztuka”.

Celowo zdecydowałem się na obejrzenie tej właśnie imprezy, bo o filmach studenckich wiemy bardzo niewiele. Amatorski ruch filmowy znajduje się dotychczas raczej na marginesie artystycznych zainteresowań środowiska studenckiego. Składa się na to wiele przyczyn. Przede wszystkim brak tradycji, ruch datuje się właściwie dopiero od 1960 r. Praca nad wyprodukowaniem filmu jest w gruncie rzeczy sprawą niezbyt wdzięczną - przy w ogóle dość słabo rozwiniętym w Polsce amatorskim ruchu filmowym potencjalnym twórcom brak doświadczeń natury technicznej, jakie to doświadczenia można zdobyć np. w dziedzinie teatralnej już w szkole, w zespołach recytatorskich lub teatrach poezji, prowadzonych na ogół przez kwalifikowanych instruktorów. Na dobrą sprawę student, biorąc do ręki kamerę filmową, musi uczyć się wszystkiego od początku, i to uczyć się sam, z nielicznych podręczników, których zresztą brak w sprzedaży.

Inna sprawa to finanse. Interesujący spektakl teatralny można zamknąć nawet kilkunastozłotowym budżetem (w ubiegłym roku studenci z Torunia pokazali w Krakowie „Strip-tease”, gdzie jedyną dekoracją były gazety). W wypadku filmu amatorskiego w grę wchodzi tysiące złotych. Tutaj baza techniczna rozrasta się do kamer, projektorów, stołów montażowych, lamp, laboratoriów itd. I tak koszt najskromniejszej bazy zamyka się sumą 30-40 tys. zł. Jest to wprawdzie wydatek jednorazowy, który wystarczy na wyprodukowanie wielu filmów, ale za każdym razem wchodzi przecież w grę zakup taśmy filmowej i obróbka

laboratoryjna, czyli dalsze, wcale niemałe złotówki. Wreszcie - uczelnia i ZSP nie zawsze dysponują odpowiednią kwotą na zakup podstawowego sprzętu, a jeśli nawet, to wolą przeznaczyć ją na potrzeby studenckich teatrów, chórów czy zespołów tanecznych. To one przecież liczą się przede wszystkim jako „wizytówka” uczelni, one dają spektakle w terenie, także na wsi, one w widoczny i efektowny sposób podnoszą prestiż uczelni i środowiska. One wreszcie posiadają wieloletni, wypracowany przez poprzedników kredyt zaufania.

Filmowcy takiego kredytu nie mają. Filmowcy nie mogą liczyć na łatwy efekt. W teatrze widowisko wspiera przede wszystkim słowo, w filmie - bardziej niż gdzie indziej, liczy się technika. Za 50 tys. zł można skompletować przeciętne zaplecze techniczne, ale już tylko sama kamera do zdjęć dźwiękowych znacznie przewyższa możliwości nawet zasobnego klubu filmowego. Na uczelni w nim można się „bawić”. Robić filmy ambitne, konkurujące z innymi formami artystycznymi - bardzo trudno.

Tylko nieliczne filmy studenckie w ostatnich latach zyskały nagrody na międzynarodowych konkursach filmów amatorskich. Można je wyliczyć niemal na palcach jednej ręki: „6 000 000” J. Robakowskiego - poświęcony martyrologii Polaków w czasie okupacji hitlerowskiej, „Tymon” - o Tymonie Niesiołkowskim; J. Oczkowskiego - „Śmierć Andersena”, M. Kokota „Pawełek”, J. Gębskiego - „Tobie bracie cmentarz”, W. Beatusa - „Piotr”. Były to zresztą filmy wybrane z niezbyt zasobnego worka. Na blisko trzystutysięczną rzeszę polskich studentów tylko stu zgrupowanych wokół 11 istniejących klubów, zajmuje się filmem. Tych 11 klubów (na 25 środowisk studenckich w kraju) zrzeszonych jest w Federacji Akademickich Klubów Filmowych. Działają one w środowiskach: częstochowskim, gdańskim, gliwickim, krakowskim, poznańskim, szczecińskim, toruńskim, wrocławskim i warszawskim.

W sumie podczas konkursu obejrzałem 57 filmów. Jednak 30 z nich wyświetlano poza konkursem - były to etiudy filmowe i prace dyplomowe studentów Państwowej Wyższej Szkoły Teatralnej i Filmowej i prawdopodobnie w zamierzeniu organizatorów miały stanowić okrasę twórczości „zwykłych” studentów. Zobaczyliśmy więc pierwsze próby filmowe Wajdy, Karabasza i Polańskiego, a z młodszych m.in. Leszczyńskiego, Majewskiego, Piwowskiego, Solarza, Wdowkówny i Zanussiego.

Niestety do pełnego obrazu brakowało prac z lat 1967 i 1968. Wyglądało, jakby szkoła uznała, że w ostatnich latach skończyła się „erupcja” młodych talentów, o której tak ładnie pisał przed rokiem w „Kamieniu” jeden ze studentów PWSTiF (Grzegorz Nowiński – „Pożar, pożar, coś nareszcie dzieje się...”. „Kamena” nr 7 z 31.III.1968 r.) Sam ów pomysł zaprezentowania etiud był dobry i zły zarazem. Dobry dla amatorskich klubów filmowych, bo wykazał, że chyba nie jest tak źle, skoro niektórzy studenci-amatorzy są niewiele gorsi od studentów-zawodowców, zły, bo dowiódł, iż poza nielicznymi wyjątkami (Zanussi,

Piwowski, Leszczyński, Wdowkówna) studenci PWSTiF reprezentują bardzo przeciętną „nieprzeciętność” artystyczną.

Wróćmy jednak do amatorskiego filmu studenckiego. Spośród czterdziestu zgłoszonych filmów w różnych kategoriach i technikach Komisja Selekcyjna Konkursu zakwalifikowała do projekcji festiwalowej 27 filmów, w tym 18 dokumentalnych, 4 fabularne i 5 w kategorii różnych.

Rzuca się w oczy, że przytłaczająca większość autorów preferuje film dokumentalny. To zupełnie naturalne. Pomijając już sprawę niezwykle trudności i przeszkód, jakie napotyka amator, biorący się za „fabułę” (brak odpowiedniego sprzętu, aktorów, kłopoty ze zdobyciem większej ilości tośmy), wchodzi tu przede wszystkim w grę czynnik natury psychologicznej, a poza tym tzw. warunki obiektywne. Po pierwsze więc filmowiec-amator, który tworzy głównie dla siebie i szczupłego grona odbiorców, pragnie widzieć efekty swej pracy jak najszybciej, a tylko „dokument” stwarza mu takie możliwości.

Poza tym zdaje on sobie na ogół sprawę z własnej niedoskonałości, jeśli chodzi o stronę warsztatową. Wie, że jego doświadczenie z kamerą niewiele odbiegają, od doświadczeń z aparatem fotograficznym. Wreszcie nie może zbyt długo „blokować” jedynej często w klubie kamery, bo już dopominają się o nią inni. Po drugie - amator-student nie dysponuje zbyt wielką ilością czasu. Na zdjęcia może poświęcić 2-3 dni. Istnieje wprawdzie możliwość zabrania aparatu filmowego na wakacje, ale wtedy student pozostaje już tylko sam na sam z kamerą. Jest za to wówczas niczym nie skrupowany, może docierać do takich zakątków kraju, a więc podejmować takie tematy, jakich filmowania tylko z wielkim trudem podejmie się krępowany liczną ekipą i sprzętem zawodowiec. Student-amator wie, że posiada w tym względzie wyższość nad zawodowcem. Chętnie więc ima się reportażu. Co zaś do „warunków obiektywnych”, to bardzo często członek klubu musi „kręcić” na zamówienie: uczelnia, ZSP, domagają się dokumentu z organizowanych przez siebie imprez, kursów szkoleniowych, obozów wypoczynkowych itp. Nieliczne film fabularne (z wyjątkiem może jednego) potwierdziły tylko słusność drogi, obranej przez „dokumentalistów”.

Przykre to może dla studentów stwierdzenie, ale i spośród 27 zaprezentowanych przez nich filmów trudno wyłowić więcej niż 5-6 naprawdę interesujących. Aż trudno uwierzyć, jak nikłe i jałowe treści są zawarte w pozostałych. Brak tam elementarnej wyczucia, jeśli chodzi o kompozycję i dramaturgię (nie mówiąc już o montażu), obserwacja otaczającego nas świata sprowadza się często do kręgu spojrzenia pierwszoklasisty. Filmy z gatunku „turystycznych”, jak: „Spotkali się w Niedzicy”, „Skrzyczne z dołu i z góry” oraz „Obra VIII”, a także „Naukowe lato 68” to chaotyczne, bezładnie pomontowane „migawki” z turystycznej włączki, nie posiadające ani sensownego wstępu, ani zakończenia. Kowbojska „Słodka Mary” jest naiwnym studenckim wyglupem przed obiektywem kamery. „Uczmy się strzelać”

rozbrajającym w swej naiwności „aktem zaangażowania” w sprawy okrucieństwa wojny i okupacji.

Wyświetlono jednak kilka filmów, które zasługują na uwagę. Wielką Nagrodę Festiwalu przyznano „Symbiozie” Tadeusza Junaka z Krakowa (nb. Kraków i Łódź wydają się być najprężniejszymi ośrodkami studenckiego ruchu filmowego). Film pokazuje pracę chałupników - tkaczy dywanów. Poruszana ręcznie prymitywna maszyna zespala się niemal w jedną całość z obsługującym ją człowiekiem. Podczas ciężkiej, jednostajnej pracy człowiek prawie utożsamia się z maszyną. Jedno bez drugiego nie może egzystować. Piękne zdjęcia, interesujący montaż, konsekwencja dramaturgiczna sprawiają, że film Junaka mógłby śmiało konkurować z krótkometrażówkami tego typu, wyświetlanymi na ekranach telewizyjnych czy filmowych. Junak umie znaleźć niebanalny temat, a w pozornej banalności doszukać się piękna.

Nie mniej interesujący wydaje mi się wyróżniony film A. Wójcika z Łodzi – „Święto Spasa”. Autor dotarł z kamerą do zagubionej prawosławnej wioski na Białostoczczyźnie, gdzie co roku odbywa się odpust i nabożeństwo za duszę zmarłych przed dwustu latu na epidemii cholery mieszkańców okolicznych wsi. Wójcik, w odróżnieniu od Junaka, który chwilami może zbyt wiele uwagi przywiązuje do strony formalnej, jest przede wszystkim baczny obserwator. W kapitalny sposób śledzi kulisy odpustu - pijanych chłopów, plotkujące na grobach kobiety, swary miejscowych osiłeków, dzieci wesoło baraszkujące na cmentarzu. Potrafi oddać klimat dusznego, sierpniowego popołudnia, przepelnionego biciem cerkiewnych dzwonów, odgłosami odpustowych gwizdawek i trąbek; dalekim echem modlitewnym śpiewów. Ukazuje nam kawałek świata, w którego istnienie już nie wierzyliśmy, a robi to w sposób tak sugestywny, że z ciemności sali kinowej w pewnej chwili pada okrzyk: „nie chce się aż wierzyć, że to dzisiaj...”

Mniej dopracowany technicznie, ale specjalnie wyróżniony za walory poznawcze był film Jerzego Wąsika – „Dzielnica Łacińska”, pokazujący życie paryskich beatników.

Wreszcie - choć nie uzyskał on żadnej nagrody - chciałbym wspomnieć o filmie z Krakowa – „Karabiny naszych matek”. Występują w nim trzy dawne „Platerówki”, kobiety-żołnierze z Dywizji Kościuszkowskiej, wspominające swą młodość. Film z pewnością posiadał liczne usterki formalne i dlatego nie znalazł uznania w oczach komisji. Charakteryzuje go jednak rzecz bardzo ważna - umiejętność organizowania i zbierania materiału faktograficznego.

Wydaje mi się, że właśnie te cztery filmy nakreślają kierunek, w jakim powinien iść amatorski film studencki. Jest to więc „dokument”, reportaż, chwytający na gorąco fragmenty współczesnej rzeczywistości, ukazujące te sprawy, które trudniej spenetrować zawodowcom.